

## JEDNOŚĆ PRZECIWIENSTW CZYLI PIENIĄDZE OJCZYZNĄ SPORTU

Czy kultura fizyczna, sport, zwłaszcza ten wyczynowy, od zarania były, są i będą szansą wyrównywania wszelkich różnic, a więc i nierówności społecznych?

Śmiem wątpić, choć takie panowało i nadal panuje przekonanie. Ba, przecież to ogólnie przyjęty pewnik. Przez kulturę fizyczną i uprawianie sportu wyrównywało się przecież różnice społeczne. I to rozmaite. Z dołów szło do góry! To wszakże dwudziestowieczny banał, bo pewien materialny, a więc zarazem społeczny układ, został wywrócony do góry nogami. Zwłaszcza futbolistów. I kudy tam do porównywania choćby materialnego statusu intelektualistów z gwiazdami piłki nożnej, ludzi kultury i nauki z ludźmi sportu.

Znana w całej Europie wybitna chorwacka pisarka Dubravka Ugrešić w swoim głośnym eseju „Harem z małymi syrenami” przywołuje zabawną sytuację, kiedy podczas podróży pociągiem z Wiednia do Grazu spotkała młodego piłkarza z Ukrainy. Ona jechała na spotkanie z czytelnikami, za które miała otrzymać 200 dolarów. Paweł – bo tak ten młodzieniec miał na imię – jechał podpisać kontrakt w austriackim klubie, bo u siebie, na Ukrainie, dostawał tylko 20 tysięcy dolarów miesięcznie, a to było jego zdaniem bardzo kiepsko, na miarę napiwku wśród najlepiej opłacanych futbolistów Europy, którym zaczynał dorównywać, bo w każdym meczu strzelał sporo goli! Jedno go tylko zmartwiło, a mianowicie, gdy zapytał panią Dubravkę, czy Graz leży nad morzem, dowiedział się, że niestety nie! Wniosek z tego zabawnego spotkania zatem oczywisty, że współczesny sport nie tyle wyrównuje, co tworzy istotne różnice, zwłaszcza finansowe.

„Przegląd Sportowy” w styczniu 2012 r. wydał specjalny numer swego ilustrowanego magazynu poświęcony wyłącznie milionerom sportu. Piłka nożna, tenis, koszykówka, hokej na lodzie, kolarstwo, żużel, siatkówka, narciarstwo, lekka atletyka i tak dalej. Rankingi i tabele, nie według wyników, lecz aktualnych zarobków. Tych rankingów zresztą co chwila pełno w rozmaitych gazetach. Bo po pierwsze: premie za zwycięstwa, zarobki, nie są przecież tajne, po drugie: to ciekawe i świetnie się czyta! Z tego względu zapewne krakowskie

„Tempo” opublikowało ranking najlepiej zarabiających w Polsce w 2012 roku zagranicznych sportowców. Otwierali tę listę – o dziwo – żużlowcy z Australii oraz Skandynawii zarabiający w granicach dwóch milionów złotych rocznie, bo oczywiście bardziej opłacało im się jeździć na swoich motorach w Polsce niż we własnych krajach. Podobnie jak Pawłowi z Ukrainy, który jechał walczyć o punkty i honor jednego z austriackich klubów. Z kolei naturalnie nasi najlepsi sportowcy, przepraszam, że tu już nie będę wymieniał nazwisk ani kwot, gdyż są ogólnie znane, pracują na sławę zagranicznych klubów. I niezależnie od tego, że ojczyznę sportu stały się pieniądze, w pełni to naturalne i zrozumiałe, że nasi najbardziej utalentowani i wybitni reprezentanci występują w bogatszych od polskich klubach.

Nie tylko pieniądze, ale w dużej mierze media windują wybitnych sportowców, czynią z nich celebrytów, bohaterów narodowych, a zatem i różnicują społecznie. Profesor socjologii Beata Łaciak z Uniwersytetu Warszawskiego uważa, że media upodobniają bohaterów telewizyjnych seriali do starożytnych bogów, czynią z nich hegemonów. Absolutnie trafne spostrzeżenie. I dokładnie pasujące również do mistrzów sportu. Konwencja nie tylko serialowych epei, ale i sportowych permanentnych zmagania, ligi mistrzów, igrzysk olimpijskich, sprawia, iż śledzimy ich losy nie tylko w telewizyjnych bajkach, ale w przypadku sportu w konkretnych sytuacjach, w transmisjach na żywo. Z najwyższym zainteresowaniem i napięciem, bo nie znamy końcowego efektu zmagania. A nasi idole, dzięki niebywalej sprawności z ogromnym, czasem wręcz nadludzkim wysiłkiem, zmagają się z przeciwnikiem i losem, by tak daleko pchnąć kulą jak Tomasz Majewski, pobiegnać na nartach tak szybko jak Justyna Kowalczyk, zaserwować jak Jerzy Janowicz czy też niczym Robert Lewandowski strzelić cztery bramki w jednym meczu! I rzeczywiście stają się wtedy bohaterami narodowymi.

A zatem współczesny sport nie tylko nas jednoczy, łączy, kiedy kibicujemy naszym najlepszym, a także otwiera drogę do awansu, kiedy go zaczynamy uprawiać, ale i dzieli, gdy najlepsi wspinają się na szczyty, czynią ze sportu profesję, coraz więcej zarabiają. Swoista jedność przeciwieństw naszej doby.

Dopiero zdając sobie sprawę z tego stanu rzeczy, możemy i wręcz powinniśmy spojrzeć wstecz, uprzytomnić sobie, jak to kiedyś bywało i jak olbrzymią, nie do przecenienia, rolę odegrała kultura fizyczna, a zwłaszcza sport wyczynowy, w wyrównywaniu bardzo głębokich różnic społecznych w początkowym okresie kapitalizmu. I to nie tylko społecznych. Rasowych również.

W 1904 r. na trzecich z kolei igrzyskach olimpijskich w Saint Louis Amerykanie zorganizowali specjalne, osobne „antropologie days”, wyłącznie dla Murzynów oraz Indian. Było to sprzeczne z olimpijską ideą równości i znamienne dla panującej wtedy w USA haniebnej segregacji rasowej. W ekipie

olimpijskiej USA byli wyłącznie biali sportowcy. Dla kolorowych zorganizowano wprawdzie osobne zawody, ale zwycięzcom nie dawano olimpijskich medali! W 32 lata później jednak czarnoskóry reprezentant USA Jesse Owens na igrzyskach w Berlinie zdobył 4 złote medale i został ich bohaterem. Również z tego względu, że swoimi fenomenalnymi wówczas wynikami w sprincie i skoku w dal udaremnił wylansowanie przez gospodarzy głównej propagandowej tezy faszyzmu, a mianowicie wyższości rasy germańskiej. Ogromne znaczenie miał też słynny gest Tommie Smitha i Johna Carlosa, którzy w 1968 roku na igrzyskach w Meksyku, po zdobyciu medali w biegu na 200 m, kiedy stanęli na podium i zagrano im hymn, podnieśli w górę zaciśnięte pięści w czarnych rękawiczkach na znak protestu przeciw rasowej dyskryminacji w USA. To dwa klasyczne przykłady, wskazujące wagę sportu w wyrównywaniu różnic. I w końcu nie kto inny, ale chyba głównie czarnoskóre sławy amerykańskiej muzyki oraz sportu utorowały drogę do pełnego równouprawnienia i przyczyniły się do tego, że w 2008 roku Barack Obama został prezydentem USA.

Równie klasycznym przykładem była w Polsce kariera Janusza Kusocińskiego, który ze skromnej rodziny z podwarszawskiego Ołtarzewa awansował na stołeczne salony. Po dramatycznym zdobyciu złotego medalu olimpijskiego w 1932 roku w Los Angeles i pokonaniu stanowiących światową czołówkę długodystansowców Finlandii Kusociński stał się bohaterem narodowym, a prezydent Ignacy Mościcki ofiarował mu siedzibę w jednym z pałacików Łazienek, aby mógł swobodnie biegać po królewskim parku.

W okresie dwudziestolecia przez sport można było wydostać się ze społecznych dołów. Wręcz legendarny w tym stał się boks. Ściągani spod budek z piwem chłopcy wyrastali nie tylko na mistrzów ringu, ale stawali się zupełnie innymi ludźmi. Tak było pod koniec lat trzydziestych z Antonim Kolczyńskim, sławnym „Kolką” z zaułków Pragi, którego zawrotną karierę pięściarską przerwała, niestety, wojna. A potem, już w PRL, cudowny trener Feliks Stamm wraz ze swoimi asystentami Pawłem Szydłą i Tolkiem Komudą właśnie z uliczek i podwórek, z przedmieść wyławiali zawadiaków, którzy bili w mordę kogo popadnie, i wychowywali z nich nie tylko wspaniałych bokserów, ale przede wszystkim prawe charaktery. W dodatku pięściarstwo stało się dla nas zaraz po wojnie najważniejszym, narodowym sportem. Zwycięstwa naszych reprezentantów były jakby zadośćuczynieniem za wszystkie straty, jakie ponieśliśmy w nieszczęściach wojny, iluzją odzyskania niepodległości. Przegrywaliśmy przecież z przemocą, ale gdy dochodziło do walki w ringu, jeden na jednego, to nie było dla nas mocnych! A więc w tym przypadku sport stał się dla nas szansą wyrównania rachunków. Nie tylko w ringu zresztą, ale na bieżniach i skocznjach, na boiskach. W pamiętnych występach naszych bokserów na mistrzostwach Europy w 1953 roku w Warszawie czy też póź-

niej lekkoatletycznego Wunderteamu na mistrzostwach Europy w 1958 roku w Sztokholmie znajdowaliśmy tak potrzebną satysfakcję i dumę.

Przez kulturę fizyczną i sport dokonało się też w PRL pewne zniwelowanie ogromnej różnicy społecznej między wsią i miastem. Zorganizowanie zajmującej się krzewieniem sportu na wsi instytucji w postaci finansowanych państwowo Ludowych Zespołów Sportowych było jednym z pozytywnych działań socjalizmu i procentuje po dziś dzień. Sport wkroczył na wieś w postaci łatwych tam do uprawiania dyscyplin sportowych, a więc kolarstwa, podnoszenia ciężarów, zapasów i dopiero w dalszej kolejności piłki nożnej. LZS stwarzały warunki i zachęcały do uprawiania sportu, organizowały zawody, otwierały drogę dla wiejskiej młodzieży. Akurat w tej dziedzinie nastąpił na prowincji istotny przełom, kontynuowany po transformacji przez działające już lokalne kluby, a ostatnio przez akcję budowy „Orlików”, a więc oświetlonych boisk, z prysznicem w szatniach. Przyzwoita gmina musi mieć dziś swój klub sportowy i coraz częściej ma też przynajmniej jedną szkolną salę gimnastyczną. Ten awans jest widoczny gołym okiem, gdy jedzie się przez Polskę.

LZS już dziś prawie nie ma, bo zmieniły nazwy. Kontynuują ich działalność setki, nie przesadzę, że nawet tysiące klubów, zwłaszcza piłkarskich, uczestniczących w systemie rozgrywek prowadzonych przez Okręgowe Związki Piłkarskie. I choć grają w szóstej, siódmej czy nawet dziesiątej lidze – bo tak potocznie się nazywa drabinka rozgrywek – to nierzadko występują pod dumnymi nazwami. Jak choćby „Benfica”, ale nie z Lizbony, lecz z wioski Klisino pod Głubczycami w województwie opolskim, „Ajax” z wioski Leśniewo na Kaszubach, czy „Galaktikos” z liczącej 300 mieszkańców Solnej, który jest liderem jednej z grup wrocławskiej B klasy. Nazwy można mnożyć i o tym zjawisku pisano niedawno w „Polityce” (nr 20/2013) Wszystkie te dawne LZS spełniają marzenia młodzieńców i dziewcząt marzących o karierze sportowej. Początkowo o sławie oraz awansie do klubów coraz wyższej klasy, a nie o pieniądzach. Niejedna też droga naszych gwiazd sportu zaczynała się właśnie w taki sposób.

Sport był i nadal jest otwartą drogą wchodzenia na wyżyny, wyrównywania szans życiowych. Ciągle jednak, jak to napisał profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Józef Lipiec w swojej prognozie na lata 2020-2030, w eseju „Sport i rekreacja w Polsce”: „Sport nie wszedł, jak dotąd, do kanonów polskiego stylu życia, a dalekowzroczność w codziennej profilaktyce egzystencjalnej nie zajęła należytego miejsca w drabinie wartości” W pełni się z tym zgadzam. Gdyż częściej podziwiamy bohaterów stadionów i zazdrościmy im sławy oraz zarobków, niż sami go uprawiamy.

Konkluzja tych publicystycznych raczej rozważań oraz spojrzenia wstecz, w dawne dzieje, jest oczywista. Sport ciągle stwarza szansę awansu, jest ol-

brzymim życiowym atutem jeśli odkryjemy w sobie talent i pasję do ciężkiej pracy i jest podobną drogą, jak w wielu innych dziedzinach. Ale gdy osiąga się szczyty, to zaczyna dzielić. Albowiem pieniądze, majątek, zawsze dzieliły; dotyczy to również fenomenu sportu naszych dni. Stąd ta jedność przeciwieństw, wyrównywania i dzielenia!